





317
BIBLIOTEKA KIESZONKOWA

JULIUSZ SŁOWACKI

LAMBRO



LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Gubrynowicza i Schmidta

1880.

WOLF

1890

1890

1890

JULIUSZ SŁOWACKI.

LAMBRO
POWSTAŃCA GRECKI

powieść poetyczna

W DWÓCH PIEŚNIACH.

Lwów.

NAKŁADEM KSIĘGARNI
Gubrynowicza i Schmidta
1879.



77264

Z drukarni K. Pillera.

PRZEDMOWA

do trzeciego tomu paryskiego wydania.

Przed rokiem ogłosiłem drukiem w Paryżu dwa pierwsze tomy moich poezyi; niezachęcony pochwałami, nie zabity dotąd krytyką, rzucam tom trzeci w tę otchłań milczącą, która pierwsze połknęła. Minął ów czas błogi, chociaż mało korzystny dla literatury naszój, kiedy umieszczona w Dzienniku Warszawskim oda, duma lub ballada, nadawała imię poety. Trzydziestu prenumeratorów dziennika (albowiem tylu ich było) rzucało nazwisko nowe na woskowane posadzki salonów, i romantyczny poeta brał chrzest znajome nadający imię; nadto pisma czasowe dzienne, zamglonymi niemczyzną okresami rzucały z paszcz sfinxowych zagadkę sławy autorskiej; szczęśliwy kto ją zrozumiał, szczęśliwszy kto w pokorze ducha niezrozumianej wierzył. Dziś dziennikarze, owi twórcy literackich królów, milczą. Gazeta Warszawska umieszcza wyjątkami, w sześciu numerach, całego prawie Żmiję, nie czyniąc żadnych uwag nad tak pociętym kozaków wodzem.

Nie spodziewam się, aby Lambro mógł się kiedy podobnież ukazać na szarej bibule dzienników, bo Lambro jest to człowiek będący obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań, jest to wcielone szyderstwo losu, a życie jego jest podobne do życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele piszą czem być mogli, o których nieznajomi mówią, że nie byli niczem.

Lambro stanął niegdyś na czele Greków namówionych przez Katarzynę do powstania, i zdradzony przez północną carowę, po wielu bezskutecznych usiłowaniach, morskim został korsarzem. Ryga, drugi bohater powieści, autor sławnego hymnu powstańców, wydany przez Austrią w ręce Turków, niestawną śmierć znalazł, powieszony na maszcie fregaty.

Pisząc niniejszą przedmowę, postanowiłem zamknąć się w jak najściślejszych obrębach potrzeby; dla tego nie będę tu bronił układu, ani żywotnej myśli poematu. Świat myśli tak jest obszerny, że można w nim wyciągać nieodparte granicami ramiona. Szanuję szkołę religijną, ową wieczną pańską polskich poetów, do której zasiedli w Paryżu—sądzę bowiem, że wypływa z przekonania, że nie jest sztucznie natchnięta słowami Fryderyka Schlegla, który w katolickiej religii źródło jedyne poezji upatruje. Oddaliłem się wszelako od idących tą drogą poetów; nie wierzę bowiem aby szkoła De-la-Menistów i natchnięta przez nią poezya była obrazem wieku. Dant pisał o piekle, kiedy ludzie w piekło wierzyli, Wolter zgadzał się z wiekiem

materyalizmu, Byron, rozpaczający o wątpliwą przyszłość poeta, zaczął wiek dziewiętnasty; ci trzej ludzie wyobrażają epoki w których żyli, oblicza wieków odbite są na ich umysłowej twarzy; gdyby z myśli większej liczby ludzi w owych czasach żyjących utworzyć można było jeden posąg myśli, ten posąg byłby Dantem, Wolterem, Byronem. Wyżej nad nich wzniósł się Szekspir, bo on nie własne serce, nie myśli swojego czasu, lecz serca i myśli ludzkie niezależne od epoki przesądów malował i stwarzał władzę do boskiej podobną. Na niższym szczeblu stoją poeci ściśle krajowymi zamknięci obrębami, jak Göthe, Kalderon, Walter-Scott, stoją jednak wysoko i mocno, bo ich podstawami są narody. Szukajmy więc różnymi drogami treściwej myśli żywotnej naszego kraju; szczęśliwy kto w ogniwie duszy własnej najwięcej promieni połączy i odbije. Lecz myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezyi zależy na opisywaniu narodowych wypadków: wypadki są tylko szatą, ciałem pod którym trzeba szukać duszy narodowej lub duszy świata.

Znajdziemy poezją narodową, albowiem dziś dwory królów nie łamią i nie psują rozwijających się talentów, ani każą im sztucznie pod szklami pałacowymi rozkwitać. Dziś poeci są minstrelami narodów i, podobni dawnym minstrelom, śpiewają milionowo-głowemu panu; gdy usypia, budzą go pieśnią, i przy śmiertelném łóżu narodów przepowiadają zmartwychwstanie. Jeżeli literatura nasza wzrośnie na wygnaniu i przyczyni się do uświetnienia obecnej epoki, to kiedyś o tém będą rozpowiadać ze łzami wnuki

nasze, i płynącego teraz czasu nie nazwą już wiekiem Stanisława Augusta, lecz wiekiem nieszczęścia narodu. Więc przebaczenie mi, Polacy, że się dobijam o jedno z niższych miejsc we wspomnieniach szczęśliwej niegdyś przyszłości.

Pisałem w Genewie, dnia 17. Kwietnia 1833 roku.

Autor.

PIEŚŃ PIERWSZA.

..... Should we again provoke
Our stronger, some worse way his wrath may find
To our destruction; if there be in hell
Fear to be worse destroy'd.....

MILTON.

I.

Falo błękitna, kołysz łódkę Greka,
Niech mu po morzu ściele księżyc złoty
Ścieżki obłędne, niech przed nim ucieka,
Gdy po téj drodze puści żagłów loty;
Kołysz go, falo, i łódkę Majnoty
W samotną morza obląkaj krainę,
I tam mu powiedz: ja nosiłam floty
Na moich skrzydłach aż pod Salaminę;
Płynęłam taką, jaką dzisiaj płynę.

W Archipelagu zanieś go ostrowy.
Tam góry chmurą owiane błękitną,
Na górach kolumn potrzaskane głowy;
Nad nimi wiecznie kwitnie laur różowy,
Pomarańczowe drzewa wiecznie kwitną,
I śniegiem kwiatów zasypują gruzy.
A ludzie cierpią, że umrzeć nie śmieli;
Twarz ich boleści rysem naznaczona.

Gdyby tu błysnął dawny wzrok Meduzy,
Gdyby ci ludzie, jak są, skamienieli,
Ileżby nowych posągów przybyło
Łamanych wiecznym bolem Laokona.
Tu, nad pomników i ludzi mogiłą,
Księżyc posępny płynie co wieczora.
Gdy góry światłem błękitném przeniknął,
Mgły zasłonami doliny ośnieżył,
Szuka posągów, które widział wczora,
Do których twarzy wiekami przywyknął;
Błady, jak starzec, co na ziemi przeżył
Zagaste, mrące co dnia dzieci koło,
Gdy wszyscy padną, gdy ostatni padnie,
Tak ma wiekami wyniszczone czoło,
Że się nie chmurzy żalem ani bladnie,
I nikt cierpienia z twarzy nie odgadnie.

II.

Archipelagu wysp wieniec różowy
Lekkich kaików przerzynają wiosła.
Jak dawne Nimfy, tak dziś te ostrowy,
Przed tureckimi uciekając gwałty,
Odmienne pierwszym biorą na się kształty.
Jak niegdyś Dafne w liść lauru porosła,
Tak dzisiaj Hydra zielona laurami.
Ipsara skalnym błyszczy stroma brzegiem,
Podobna córce gładowej Tantala;
Gdy pod nią śnieżna rozbija się fala,

Wiecznie od czoła wieńczonego śniegiem
Kryształowymi upłakana łzami.

Ipsarskie miasto, jak dłutem snycerza
Ze skał ciemnego łona wydobyte,
Barwy ma szare, od tła nie odbite,
I lasem masztów na poły schowane.
Gdźieniegdzie lekka minaretów wieża
Niesie pod niebo szczyty ołowiane.
Tam rzędy okien od łuny zachodu,
Jak mnogie lampy rozpalone, drżące,
Co chwila bledsze, co chwila gasnące,
Już zaszły mrokiem, ale szczyty grodu
Długo złociste miały słońcem dachy.

Ostatnie światło z ciemnością się starło...
Chociaż to miasto na pół obumarło,
Gwar słyhać w mieście, bo bezludne gmachy
Głośniejszém odgłos odbijają echem;
Gwar smutny, rzadko pomieszany śmiechem,
I tajemniczy jako te odgłosy,
Które wiatr z martwej muszli wydobywa.
W głębiach haremów lśniąca perłą rosy
Palą się róże, smutno słowik śpiewa;
Przez szczyty murów na ciche ulice
Wonnych akacyi zwieszają się kwiaty;
Czasem pochodnia błysnie z po za kraty;
Księżyc turbanu olśni bawełnicę.

To Turek dąży w znajomą gospodę,
Co inne gmachy przenosi wytworem;
Gdzie wielkie kotły wracą źródeł wodę
Leją w kanały złotym dziwotworem;
Ta z kłębem pary wytryska w fontanny,
I wieczną walkę z zimną siostrą toczy;
Opryska warem, parą ją omroczy,
Wprzód, nim zezwoli iść do wspólnej wanny.
Tam woń arabskich napojony duchem
Przechodzi Turek w marmurowe sale:
Jedna za drugą wiążą się łańcuchem,
Kłamane dalej w zwierciadeł kryształ.
Tam Grek usługny obiega wokoło,
Dla muzułmanów nie szczędzi ukłonu:
Do ziemi chyląc osiwiiałe czoło,
Nalewa mokkę w łono róż z Japonu;
Potem przed Grekiem stawia czarę z gliny,
Chowając aspra, do czary nalewa
Napój z makowej tłoczony rośliny,
Co śmierć sprowadza, jak cień tego drzewa,
Które usypia snem głębokim zgonu.
Mrok spada w dymu stambulskiego chmurze,
Gdzieniegdzie tylko z Etrusków wazonu
Widać w połowie wychyloną różę;
Gdzieniegdzie błyszczą sztyletów główce;
Tam nieruchome wyznaućów turbany
Porosły kołem jak łąk tulipany;
Nad turbanami palą się księżyce.

III.

Wchodzi do sali młody Ipsaryota,
Jak u śpiewaka twarz blada i smutna;
I na ramieniu miał kapotę z płótna,
Niegęsto niemi przetykaną złotą.
Widać z gitary, znać po blasku oka,
Że z pieśnią siola i grody przebiega...
Wnet go tłum Greków do koła oblega,
Wypuścił bursztyn wierny syn proroka.
Greki i Turki zarówno ciekawi,
Jaki głos śpiewak, jaki lutnia wyda?
Czy ich upiorów powieścią zabawi?
Czy brylantową bajką Alraszyda?
Śpiewak po sali wiódł wzrok obłąkany,
Jak gdyby liczył tureckie turbany;
A potem spojrzał w mnogie Greków twarze
I gdy w nie patrzył, znalazł dźwięk w gitarze.

*

POWIEŚĆ GREKA.

IV.

Małe tu znajdę dla pieśni pokupy,
Miłość ja kraju i rozpacz uprzedły.
Tu żółkłe twarze, może serca zwiędły?
Miałem tu znaleźć ludzi, widzę trupy.

Niezdolni z życia wybić się skonaniem,
Wyście odważni, lecz na pół otrucia,
Wyście przywykli zabijać pół czucia,
I zmartwychwstawać, lecz pół zmartwychwstaniem,
Wiecznie okuci w żelazne ogniwa.
Pieśń często z kajdan iskry wydobywa,
Więc będę śpiewał i dążył do kresu;
Ożywię ogień jeśli jest w iskiecce.
Tak Egipcyanin w liście z aloesu
Obwija zwiedłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie,
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu, na dnie.

Myśl syna pieśni ciemna, niezgłębiona,
Jest jako fala umarłego morza;
Co jój powierzysz, wnet wyrzuca z łona,
Lecz barwą ciemnych głębi przyodzieje,
Da nieśmiertelność kamiennego łoża,
Kwiat w niej nie tracąc barwy kamienieje.
Lecz jeśli wieszczek nie znajdzie wyrazów,
W głąb jego serca słuchacz nie dosięga;
Często podobny sam do zimnych gładów,
Choć pieśń ognista w myśli się wylęga,
Często go słuchacz odbiegnie wesoły...

A pieśń, co ledwo dopłynię połowy,
Jak mórz zamarłych owoc rubinowy,
Bezpłodne w sobie zamyka popioły.

V.

Niegdyś nam północ miecz podała w dłonie
A potem chytra bezsilnych odbiegła.
Widziałem walkę, widziałem to błonie,
Gdzie siła naszych rycerzy poległa.
Ja byłem dzieckiem i patrzałem z chaty...
Powietrze chmura proporców krajała,
W tureckich szykach lśnił księżyc bogaty,
Nad nim dym srebrny wyrzucały działa,
Stamtąd huk leciał, stamtąd ziemia grzmiała,
I grad pocisków wyrzucały spiże;
A stąd, zachodnim złożone promieniem,
W ten dym ognisty szły błękitne krzyże
Z uporném, z głuchém rozpaczy milczeniem.
Potem je dymy spiżowe pożarły,
Mignęły w ogniu złote, i pobladły.
Przed nocą wszystkie szeregi wymarły,
I wszystkie krzyże w szeregach upadły.

VI.

Tak się zwycięstwa przeważały szale...
Lambra tureckie ominęły gromy,
Wdarł się na skałę, całą noc na skałę,
Patrzył na groby, na groby bez końca!

I tak nazajutrz jeszcze nieruchomy
Błyszczał w promieniach wschodzącego słońca...
A stamtąd poszedł błakać się po świecie.
Lecz nie samotny, znalazł się ktoś drugi,
Co przy nim giermka podjął się usługi;
Kto to był taki? — może odgadniecie.

Po długich latach, z krainy wygnania
Ujrzał, jak Grecy z wiatrem na wyścigi
Nieśli po górach hasło zmartwychwstania;
Pieśń grzmiała w dzwonach, była to pieśń Rygi.
Ale niedługo Grek o szczęściu marzy:
Kolejno w siołach milkła pieśń i dzwony,
Gdzieniegdzie snuł się Kleft, lecz zakrwawiony,
I z krwią miał rozpacz przysechłą do twarzy.
Płacz, narzekanie wstrząsa Greków chaty,
Echami skał się rozpląkały łona.
Jutro, wołają, na maszcie fregaty
Haniebną śmiercią młody Ryga skona.

VII.

Na dzikich brzegach skalistój Ipsary
Wznosi się klasztor wysoko nad morze;
Krzyż jego pierwszy wita ranne zorze,
Ostatnie słońcem złocą się filary.
Koło klasztoru bez czoła kolumny
Stoją jak palmy pozbawione liści.
Tam mnich pracuje koło własnej trumny,

Tam od tureckiej uciekł nienawiści...
Ów dzwon, co dzisiaj ogłasza pacierze,
Nieraz do broni powoła majnotę;
Nieraz od Turków okrażone wieże
Czoła dział srebrnym uwieńczają dymem,
Z tych okien błyszczą spiżu paszcze złote,
I mnich pokorny staje się olbrzymem.
Nieraz rozpaczy nagłony potrzeba
Rozwała miną poświęcone ściany;
Rzekłbyś, że mnich ten chce zdobywać niebo
Skał odłamami jak dawne Tytany.

Na niższych skałach cmentarz muzułmanów,
Czarowny, cichy, pełny drzew i kwiatów,
I dłutowanych w marmurze turbanów,
Jak odłam z rajszych oderwany światów
I przesadzony na skalne urwiska.
Tam byłem wczora... Słońce zachodziło...
Za marmurowe skryty grobowiska,
Widziałem dwoje ludzi nad mogiłą;
Widziałem Klefta i greczynkę młodą:
Ona, do Peri podobna urodą,
Jak była piękną, wyraz nie określi!
Gdy długo, długo patrzałem w jej lica,
Kiedy się potem obudziłem z myśli,
Tak byłem tęskny, rozmarzony, smutny,
Jak gdybym długo patrzył w twarz księżycy.
Snać, że jej życie był to czas pokutny

Za całą przeszłość szczęścia pogrzebaną;
Miała na twarzy smutek, lecz nie żalność,
Barwę koralu łą nie opłókaną;
Rumieniec tonął w bezpromienną białosć,
I w białych szatach stała między drzewa
W pół przeświecona blaskami zachodu,
Podobna srebrnej fontannie ogrodu,
Z której wiatr mgliste warkocze odwiewa.

Kleft, znać z ubioru, był kiedyś rycerzem,
I wierne rysom członków nosił szaty:
Piersi jedwabnym zamknięte pancerzem,
Co się od słońca w różne barwy łamie,
Wypukło w złote wyszywany kwiaty.
I miał kapotę rzuconą na ramię,
Białą jak śniegi, i pas złotolity;
Nogę złożonym wiążaną rzemieniem,
Małą misiurkę, której aksamity
Pod kruczych włosów tonęły pierścieniem;
Na niej z misternie ułożonej zwici,
Węzeł w złociste rozpadał się nici.

Choć stłumionymi przemawiali słowy,
Mogłem dosłyszeć ułamków rozmowy.

VIII.

„Lambro! ty w słowach dajesz mi obłudę,
„Nie odpowiadasz szczerze, gdy zapytam.

„Na twojem czołe z przerażeniem czytam
„Ostatni stopień wszystkich nieszczęść — nudę.
„Blask twego oka nie odbłyska z duszy.
„Serce jak brylant, chociaż się rozkruszy,
„W każdym odłamie iskra się zawiesza,
„A każda czystym łśni tęczy promieniem:
„Lecz na twem czołe jakiś szatan mięsza
„Rozpacz ze śmiechem, śmiech błady z cierpieniem...
„Ty jesteś z ludzi, których serce żywi
„Łzami, lub gorzką trucizną laurową.
„O! bo też prawda, że my nieszczęśliwi,
„I czasem czuję, że pociechy słowo
„Ma dźwięk szyderczy i na serce spada.
„Gdy myślą wracam w przeszłości krainy,
„Widzę, jak przy nas stojąc, rozpacz błada
„Czekała długo, przyszła choć nie skora;
„Ze wspólnych myśli jednego wieczora
„Myśmy się w stronę rozbiegli myślami.
„I dziś mi nie chcesz odkryć serca głębi,
„Milczysz?...“ —

„Dziś nie chcę zabijać słowami.
„Bo każde słowo do serca utonie,
„I tak jak sztylet dreszczem je oziębi;
„A potem długim rozpamiętywaniem,
„Jak żar piekielny rozpali się w łonie,
„I potem, potem — cała przyszłość twoja
„Stanie się długim i ciężkim konaniem.

„O! patrzaj na mnie, ta złocista zbroja
„Dzikiego Klefta nigdy nie stroiła:
„Zmieniłem szaty, tyś serce zmieniła.
„Winnaś wyczytać na pobladyłem czole
„Myśli ukryte i obecne bole,
„I wszystkie zbrodnie — a żądasz wyrazów!
„Tak jak wędrowiec wśród grobowych głązów
„Nie umiesz czytać napisów cmentarza?
„Więc poznaj Lambra, jak ludzie poznali...
„Jam dzisiaj królem błękitnawej fali,
„Mszczę się... Dziś czarna bandera korsarza
„Rzuca cień śmierci gdzie dosięgną działa;
„I zapomniałem zetrzeć z mego czoła
„Cieniu, co dzisiaj rzuciła nań rano;
„Otarłem tylko szablę krwią skalaną.
„Kłóczę niebaczny spokojność anioła...
„Napół przekłety, napół zapomniany,
„Rozpalam ogień miłośnej pochodni,
„I wiążę serce dwoma talizmany,
„Wielkością nieszczęść i wielkością zbrodni.
„Mój obraz kształty przybierze olbrzymie
„W głębi twój duszy — jak anioł upadły,
„We krwi skalany, w dział omglony dymie,
„W blasku brylantów i złota wybladły.
„O! bo ja miałem wielką niegdyś duszę!
„Lecz gdy ją znudził smutek jednobrzmienny,
„Idę wśród ludzi jak przez las jesienny,
„Kędy pod stopą żółkłe liście kruszę,

„I gardzę liściem, co ścieżki pozłaca
„Barwą uwiedłą, lecz szum ich zasmuca!
„Wolę niech moją łodzią fala rzuca,
„Niechaj mi wzgardą za wzgardę odpłaca.
„Morze — to wielka mogiła stworzenia,
„Dumającemu na niej myśli płyną.
„Nieraz na fali umieram z pragnienia,
„Jak obciążony tantalową winą,
„I mogę niebo przeklinać i morze.
„Usłałem sobie rozważane łoże,
„Co mi piastunki daje kołysanie;
„Bo spać nie mogłem na ziemi — a teraz
„Często mię zorza śpiącego zastanie,
„I nie obudzi skrawem światłem — nieraz
„Działo mi dając ranne powitanie,
„Zbudzić nie może — często sen przedłużę,
„Aby w tém życiu żyć jak najmniej — nie snem.
„Dziś nieszczęściami są mi niebios burze,
„Lina zerwana ujęciem niewczesném;
„Mam jeszcze czucie, bo dziś mię rozczula,
„I lzy mam w oku, gdy rozryje kula
„Maszt, z którym długie przebiegałem drogi,
„Wycięty z roslėj Epiru topoli,
„Co mi rodzinne wspominał rozłogi;
„Lecz gdy mrą majtki, wtenczas poniewoli
„Na moich ustach błyszczą uśmiech dziki,
„Jak gdybym szydził, że niezręczni byli
„Śmierci uniknąć — a ci ludzie żyli

„Ze mną przez długie lata trosk, cierpienia,
„Jak krwi tygrysy, druchy, niewolniki...
„Ostatnia miłość, miłość przywyknienia,
„Skamieniałego serca nie poruszy...
„Ze złotem stawię człowieka na szale,
„A potem złoto rzucam w morskie fale,
„Jakby w tém była jaka wielkość duszy.“

IX.

Słucha dziewica, jej rumieniec mgławcy
Zrazu rozkwitał i blasku nabywał...
Gdy zaczął mówić, to uśmiech ciekawy
Twarz jej oświecił, we łzy się rozpływał,
I znów powracał tak w odcieniach zmienny,
Ze słów kochanka wydawał się echem;
A gdy ten uśmiech gasiła zgryzota,
Gdy obumierał zadumaniem senny,
Podobną była do niewiasty Lota
W chwili, gdy tonie ostatnim uśmiechem
W nieodgadnioną boleść, w sen kamienny,
I jeszcze słucha w przeszłość odwrócona...
I tak posągów brała kształt nieżywy,
Tak opuściła bezwładnie ramiona,
Ze z ramion szata płynąca do ziemi
Jakby w kamienne łamała się spływy.

I Lambro bladnął i usta drżącymi
Mówił: „O luba! wybacz, że te słowa

„Zanadto czarną malowały duszę;
„Przywykłem kruszyć serca — a gdy kruszę,
„Patrzeć jak cierpią i śmiać się szalenie.
„Lecz twoja boleść, bladość marmurowa,
„To już nad moje siły, nad sumienie!
„Czy wierzysz, luba? ja się wyznać wstydzę,
„Ja, korsarz krwawy, ja ludzi morderca!
„Że się zabójstwem i zbrodniami brzydzę,
„Że mam myśl jedną, wielką, w głębi serca,
„Co kiedyś zbawi nawet pamięć moja.
„O luba! teraz niech się ludzie boją;
„Niech się przed czarnym chronią pawilonem;
„Znajdę ich, zbudzę... jeśli nagłym zgonem
„Bóg wielkień we mnie myśli nie rozłamie.
„Na mojem czole widzisz dumy znamię,
„To jest przeczucie sławy; tam, tam w dali
„Widzę okropną przyszłość, ale sławną!
„Precz te obrazy... Luba! jakże dawno
„Z tobą po obcych błądziliśmy światach?
„Jakżeśmy dawno w przeczuciach szukali
„I w oberwanych po liściu róż kwiatkach
„Naszęj przyszłości? Z tobą moje losy
„I z tobą dotąd wiąże myśli moje.
„Często przed ludźmi w kajucie ukryty,
„Jak dziecię trefię przed zwierciadłem włosy,
„Szaty poprawiam, brylantami stroję,
„Bo widzę jasno, widzę w twych marzeniach
„Mój własny obraz wyraźnie odbity;

„Więc podobieństwa szukam w ukraszeniach,
„I póty śmiechem rozjaśniam jagody,
„Aż póki czyste wróci mi zwierciadło
„Obraz twych wspomnień z twarzą mniej poblada
„I mniej posępny, i smutny, i młody.

„O! świat ten gorzki, śmiechem przeraźliwy
„Dla tych, co płaczą czy to krwią czy łzami.
„Chroń się ty świata, bo on nie był z nami
„W szczęścia godzinie, więc i dziś nie będzie;
„Bo przeciw wielkim czuciom on gniewliwy,
„I nie przebacza tym, co toną w błędzie.
„Patrz, jak ten klasztor czoło w chmurach trzyma,
„Ja ci wynajdę mieszkanie w klasztorze;
„Zamknij się w cichej celi, i ze skały
„Patrzaj nocami na rozległe morze,
„I błękitnymi po fali oczyma
„Mojego statku ścigaj żagiel biały.
„A gdy zagrożą fali niepokoje,
„Kiedy się będziesz modlić zdjęta trwogą,
„Razem popłyną w niebo, jedną drogą,
„Twoje modlitwy i przekleństwa moje.

„Lecz nim obierzesz klasztorny spoczynek,
„Jutro nim zorza świtem się rozpali,
„Przyjdź do mnie sama, tam, nad brzegi fali,
„Odziana płaszczem bogatych turczynek.
„I miej kalemkiar ciemny z muselinu,

„Lub czewrę gęsto haftowaną złotem;
„Niechaj się z wiatru nie wznosi polotem,
„Nie zdradzi twarzy przed oczyma gminu.
„Jutro, pamiętaj! tam łódź moja czeka,
„Gdzie się przy skale załamało morze.
„Ja sam przebrany w tureckim ubiorze
„Płynę na pogrzeb ostatniego Greka.“

Skończył, a kiedy z ostatnimi słowy
Na piersi chylił twarz cierpieniem zbladłą,
Zda się, widziałem, kilka łez upadło...
Nie wiem... to może z silniejszym powiewem
Opadał z drzewa kwiat pomarańczowy?
Nie wiem czy płakał, czyli zachwiał drzewem?

X.

Ranek był. Morze rozpalone świtem
Wre zdala, szumi i srebrzy się w pianę,
Potem portową groblą odłamane,
Brzegi spokojnym oblewa błękitem;
A brzeg wysoko szarzeje granitem.
Wyżej palm błyszczą zieloność wesola.
Te palmy w niebo sięgające szczytem,
Jako nam istność malują anioła:
W mgle mają stopy — a w błękicie czoła.

O! jakże smutny fali szum bezdenny,
Co się z cichego morza wydobywa!

I ten las masztów, jako las jesienny,
Z którego burza północy gniewliwa
Połowę jasnych liści poobrywa;
A pozostałym da rozliczne szaty:
Liść Statudera złotem się pokrywa,
Róż Albionu płonią się szkarłaty,
Szronem się Franków osrebrzyły kwiaty.

Słyszac szum żagli, słyszysz jakby we śnie
Gwarzące różnym językiem narody...
Rozdarte gromem skarżą się boleśnie,
Jakby mówiły doznane przygody,
I prześcignięte z wiatrami zawody.
A fala milczy, choć może w niej tonie
W tej chwili okręt nadziejami młody;
I jęk rozpaczy wydany przy zgonie
Uczuła fala, lecz zamknęła w łonie.

XI.

Okręt troistą opasany spiżą
Zatknał na maszcie księżyc, trzy buńczuki,
Omgił się dymem, dział rozesał huki,
I wtenczas niby szatana był tronem.
Gdy wiatr poddany dym unosił chyżo,
Wszystkie go maszty witały pokłonem;
A okręt ucichł, pił dumy kadzidla.
Mgła ranna hukami potrójnym rozbita,

Srebrne po masztach zawieszała skrzydła;
Na wschodzie skrawo dzień wschodzący świta.
Nie ma wyrazów język niezaskarbny
Malować słońcem ukazane czary.
Jako rozkwitłe Nilu nenufary
Z kwiatów kobierzec wiązą różnofarbny;
Jak odświeżone muszle i kamyki
Pieszczotą fali — tak na cichej wodzie,
Wiążąc się razem w jasne mozaiki,
Spłynęły żaglem oskrzydłone łodzie.
Tam turban kitą ozłocony świetną,
Tam srebrna dziewic zasłona powiała;
Od łodzi fala różny połysk brała,
Barwiona złotem, lub purpurą Tyru.
Cała ta przestrzeń była łąką kwietną,
Była doliną, szalem kaszemiru.
Łódź każda wiosłem drugą łódź prześciga
Pod maszt fregaty, gdzie ma skonać Ryga.
I tak jak chciwe sępy albo kruki,
Gdy czują oddech śmierci, tak spłynęli
W bogatych łodziach, po morskiej topieli,
Z męczarni Greka różne brać nauki.
Wielu jest w tłumie, co się śmiać naucza,
Śmiech taki wrzкомо wielkość serca kłamie!
Wielu stąd wróci i miecze rozłamię,
Co jutro w królów miały tonąć łona.
Gdy tacy zemstę Aniołom poruczą,

Nieliczny może z męczarni wyłamię
Prawdę, że skonać nie trudno — i skona.

XII.

Wstąpił na pokład Ryga wśród janczarów;
Kiedy chciał mówić, słowa mu nie dali,
Więc tylko okiem raz rzucił po fali,
Spojrzał na mgłami osrebrzone góry.
A wtenczas ucichł dźwięk niesfornych gwarów,
W szmer się zamienił gasnący, ponury,
I była cisza... Z ciszy wyblakana
Pieśń między Turków urodzona tłumem,
Na kilka cichych głosów rozłamana,
Rośnie i z fali kołysze się szumem;
Rzuciła w tłumie grzmiące Rygi hasła:
Powstańcie Grecy! ale Grek nie słyszy,
Powstańcie Grecy! brzmiało — ale ciszej,
Do broni — cicho — pieśń znikła — zagasła.
Pieśń serce Rygi przy skonaniu kruszy,
Lecz radość widna z twarzy i z postawy,
Jak gdyby przeczuł nieśmiertelność duszy...
Może czuł tylko nieśmiertelność sławy.

XIII.

Widziałem! ja sam widziałem, o Greki!
Jako na wielkie wstąpił rusztowanie,

Widziałem wszystko, i tłumilem łkanie...
On był tak młody, nie zmrużył powieki,
Choć śmierć tak bliska! choć śmierć tak straszliwa!
Jeszcze go widzę, jak zasłonę zrywa,
Jeszcze go widzę, jak pod nieba stopy
Na rusztowaniu stanął — i smutnymi
Oczyrna dawał pożegnanie ziemi,
Siłom młodości, marzeniom młodości.
Wtem szczyble pękły wymknięte z pod stopy...
Niemam wyrazów... Któż mu nie zazdrości
Śmierci teutońską sprowadzonej zdradą?
Lecz któż się zemści? któż w całym narodzie?

I właśnie słońce wstawało na wschodzie,
I promień z rannój otrząśniony rosy
Pozłocił Rygi twarz martwą i bladą,
I na ramiona spływające włosy.
Na twarzy siłę ukazał niezmienną,
Uratowaną z męczarni rozbicia;
Na twarzy walczy senna boleść życia,
Z długą boleścią wieczności — bezsenną.

XIV.

A w tłumie widzów jedna łódź ożyła;
Jak po jeziorze trzcunami zarostem,
Wężową ścieżką z tłumu się wywiła;
Turek ją pędził obustronnem wiosłem,
I bawił Turków, rzucając nad głowy

Tysiączne kręgi wodnistych obręczy,
Umalowane kolorami tęczy.
A łódź, jak delfin w wodzie rozigrana,
Czasem tonęła w odmet lazurowy
Równa powierzchni morza, tak że piana
Żagiel srebrzyła; czasem statek złoty
Po wierzchu fali szedł ptasimi loty,
I coraz bliższy fregaty sułtana,
Niebacząc niby, pod srogimi kary
Wzbronione łodziom granice przechodzi.
Nie śmieli strzelać strzegące janczary,
I od płynących zdrady się nie bali;
Bo w tej złocisto malowanej łodzi
Ujrzeli postać dziewicy, i głośno
Śmiejąc się wszyscy, wszyscy przeklinali
Szatę turecką, zamkniętą, zazdrośną,
I ów kalemkiar z muselinu biały,
Tak gęsto lśniącym haftowany złotem;
Że go powiewy wiatru nie odwiały,
Ani łódź szybkim odstłoniła lotem.
Ta pod zasłoną róża niewidoma
Snać z ciekawością dziecinną haremu,
Może przejęta zgrozą, nieruchoma
Chciała się bliżej przypatrzeć zmarłemu?
Może się pod tą zasłoną ukrywa
Uśmiech w połowie ciekawy, wesóły?
Z takim uśmiechem liście róż obrywa,

Z takim uśmiechem te ziemskie anioły
Widzą zgon róży, serca, lub człowieka.

A wtem okrętu piersi niedaleka
Łódka uczuła silny popęd wiosła,
Biegła po fali, z fregatą się zrosła:
I wnet z jej łona dym się wybił szary,
A potem jasność błękitnawa siarki.

Majtek przez chwilę patrzył na pożary;
A gdy mu płomień ramiona otoczył,
Odrzucił turban i do fali skoczył.
Za zbiegłym setne strzeliły janczarki,
Przed kulą w morzu zanurzony zginął...
Po chwili błękit pianą się zakłócił,
Majtek na fali powierzchnię wypłynął,
Pobladył Turkom śmiech szyderyczy rzucił...
A gdy śmiech echo okrętu powtarza,
Gdy się twarz majtka słońcem oświeciła,
Śmiech ten poznałem, był to śmiech korsarza,
I twarz poznałem, to twarz Lambra była.

XV.

Splonęła łódka, a w dymie z lazuru
Błękitna siarka błyska — z razu blada
Całuje okręt jak czarę z marmuru,
Jąć się nie może, ślizga się i spada,

Wgląda na pokład, potem z trzaskiem nagle
Czerwona dębu zajęła się ściana,
I w dymu kłębie iskra zabłąkana
Jak gwiazda z nieba upadła na żagle.
Wnet płomień szybko aż na maszty wbiega,
Spodem okrętu roztwiera szczeliny...
Pękały szyby i rwały się liny,
I maszt z węglowym padł na pokład dźwiękiem.
Odgłos rozpaczy w trzasku się rozlega,
A tysiąc jęków, było jednym jękiem...
Ucichły razem... huk płomieni głuchnął;
Ciszą się zdawał, gdy doń słuch nawyknął.
Nagle, w płomieniach nowy blask wybuchnął.
Jak tknięty różeczką czarowną aniołów,
Z gromem wulkanu cały pożar zniknął,
Zostawił przepaść, i w niej wracą pianę,
I wszystkie łodzie burzą kołysane,
A na nie chmura upadła popiołów.

XVI.

Takim był Ryga uczczony pogrzebem...
Nie poszedł pruchnieć w marmurowe lochy,
Stos miał wzniesiony pod błękitném niebem
Z dębów i trupów; jako do ławicy
Do czary morza spadły jego prochy.
Lecz jak okropna śmierć młodej dziewicy!
Anielskim niby ożywiona duchem,



Kiedy ją ogień dokoła obchodzi,
Boleści żadnym nie zdradziła ruchem,
Bez jęku prochem opadła do łodzi.

XVII.

A Lambro w morzu przechował się cały,
Do korsarskiego dopłynął okrętu;
Przywołał pazia, i napół omdlały
Padł na kobierce, mówił, a z oddechu
Myśli zburzonych płynie mowa skora,
W stu słowach ledwo jedna myśl rozkwita....
Mówił do Pazia: „Już pora! już pora!
„Zmienić banderę... ale czy powstaną?
„Gdy krzyż na czarnej banderze zaświta,
„Może powiedzą: szalony! za rano!
„Więc dla niczego tyle znieść męczarni?
„Paziu! idź w góry, gdzie się klefty kryją,
„Do marmurowych zazieraj kawiarni,
„I pieśń im śpiewaj, i zobacz, czy żyją?
„Zobacz, na grobach czy płaczą mściciele?
„Lecz wróć jak zwykle łać napój makowy,
„O każdą kroplę napoju się spierać;
„Bo dzisiaj czuję straszny ciężar głowy,
„I ciężar myśli... wypiłbym za wiele.
„Dzisiaj chcę marzyć dłużej, i spać dłużej,
„Ale żyć muszę, z Grekami umierać...
„Idź dobre wieści przynieś mi z podróży...“
Poszedłem...

Śpiewak cały się zapłonił,
Czuł, że się słowem nieroztropnóm zdradził;
Kryjąc zmięszanie, silnie w lutnię dzwonił,
Ręką przez wszystkie struny przeprowadził.
Obejrzał koło Greków... myśli czyta.
Zaśmiał się gorzko, rzucił wzgardy okiem
I wyszedł... Za nim śpiesznym wyszła krokiem
Jakaś Greczynka zasłoną okryta.
Może ciekawa pieśni tajemnicy
Za odchodzącym paziem zawołała?
Potem z nim długo, długo rozmawiała
Na osrebrzonej księżycem ulicy.
A choć rozmowy nie dosłyszeć dźwięku,
Snać gorącymi prosiła go słowy...
Musiał zezwolić, bo na jego rękę
Błysnął księżycem pierścień brylantowy.



PIEŚŃ DRUGA

I.

Już noc zapada w korsarza kabinie,
Zalana falą szyba bursztynowa
Coraz ciemnieje; jak w piekła krainie
Mrok był ognisty i cisza grobowa;
Piekło to było... i te same słowa,
Co na piekielnój wypisane bramie,
Tu z pierwszym wiatrem na wchodzących wieją;
Bo kto tu wejdzie, żegna się z nadzieją.
Tu myśl starzeje w przeciągu godziny.
Gdy się nad głową grzmiąca fala łamie,
Gdy huczą płótna, jęczą starte liny,
Choćbyś wrażenia powiązał łańcuchem,
To się rozprysną, ogarnąć nie mogą
Ruchu, co ziemi wydaje się ruchem,
Pojęty tylko jednym zmysłem — trwogą.
Jest ktoś w kabinie, bo chociaż wśród cienia
Nie widać kształtu żyjącej istoty,
Lecz słysząc często ciężkie odetchnienia.
Ktoś w tym się grobie musiał zamknąć żywy;
Jeżeli czuwa, to ma myśl zgryzoty,
Jeżeli zasnął, to ma sen straszliwy.

II.

Paź wszedł, postawił na stół lampę kryształową.
Przy stole siedział korsarz z pochyloną głową,
I zadrzał, bo to światło z marzenia go budzi,
Bo to światło natrętne było jak tłum ludzi,
Co widząc blade czoło o szaleństwo woła.
Korsarz długo ze światłem godził rysy czoła,
Twarz jego jakby z kruszcu łamała się twardo,
Malowana na przemian śmiechem, bolem, wzgardą;
A potem się w bezwładną spokojność przybrała
Jeśli twarz może skonać, twarz Lambra skonała.
I spoczywał bezwładnie na stole oparty,
Przed nim rozwite świata znajomego karty,
Cała ziemia, ramieniem Lambra opasana,
Leżała jak w żelaznych skrętach Lewiatana.

A te ściany są krwawą powieścią korsarza.
Lampa, co przed nim płonie, zdjęta z przed ołtarza,
Świeci zbrodni, jak niegdyś przyświecała Bogu.
Tam dalej blask księżyca rzucony na progu
Odbłyska jakby kawał śniegu błękitnawy.
I różne pawilony, z obcej wzięte nawy,
Skarżą się pod stopami korsarza rozdarte.
A tam, lampa oświeca pargaminu kartę,
Firman złotem w sułtańskie ustrojony słowa;
Na nim jak pieczęć z wosku leży trupia głowa,
Od sułtana samego głowy mało mniejsza,
Żółta, lśniąca i może z czaszek najpiękniejsza.

Dalój złotem wybite, krwią rdzawe oręż,
Nad czarami ze spiżu okręcone węże
Zginają kark do czary po szczątki trucizny.
Z tych ścian wyczytaj zbrodnie wygnańców z ojczyzny;
A sumieniem kajuty są ściennie zwierciadła,
Których powierzchnia parą wilgoci pobladła,
I co dnia zasłonami grubszy ciemnieją,
I co dnia na co patrzą, spowiadać nie śmieją.

Czasem słyhać szum morza, czasem cichość głucha.
W ciszy korsarz podnosi blade czoło — słucha.
Jego myślom w dalekie rzuconym zawody,
Odpowiadają dźwiękiem krople morskiej wody,
Co ze szczelin sączone dźwięk wydają szklanny,
Jak płacz łzawy dalekiej w cytrynach fontanny.

III.

Czegoż paż czeka? — powinien co nocy
Podawać czarę, w niej napój makowy.
Bo Lambro co dnia bladzy, o północy
Szaleje trucizn namiętném pićiem;
I życie mieni na sen gorączkowy,
Sen tak jasnymi grający barwami,
Że chwile życia zdają mu się snami,
A sen szalony wydaje się życiem.
I co dnia czara, o kroplę pełniejsza,
Te same widma i sny mu dawała.
A choć twarz bladła, źrenica świetniejsza,

W ciemność wlepiona, krwawa, potem biała,
W krainę duchów biegła — i wracała
W krainę myśli... wtenczas cierpiał, szalał,
Żebrał u pazia trucizny nad miarę,
Lecz paż jak dziecku groził, nie pozwalał,
I nieraz w morze ciskał zgubną czarę.

IV.

Lecz cóż się stało, że choć noc zapadła
Paż jak zazwyczaj nie podaje czary?
I korsarz milczy, choć mu twarz pobladła;
Snać, że się lęka ze wspomnień zwierciadła
Zamglić szaleństwem gorączkowej mary
Owego widma płonącej fregaty,
Co stoi przed nim pełna jęków, wrzasku
Przeraźliwego, wśród płomieni blasku,
Dotknięta palcem anioła zatruty.
Więc nie chce trucizn, ale czy wytrzyma
Przez noc zwyczaju przełamać narowy?
Obłąkanymi spogląda oczyma,
Wstał — i na pokład wyszedł okrętowy.

V.

Noc była cicha. Okręt na kotwicy
Niepełnym żaglem brał wiatru pieszczoty.
Powietrze szkliste, pełne tajemnicy,
Księżycowego blasku i tęsknoty.
tak się błękit ochylił do koła,

Że maszt najwyższy, schylony u szczytu,
Nie śmiał jakoby wzniesć dumnego czoła
Pod kryształowem sklepieniem błękitu.
A w drżącej fali jak srebrne delfiny
Igrały w koło blaski księżycowe,
A dalej mgłami błękitne krainy,
Archipelagu wyspy cytrynowe,
Na widnokręgu nieraz czarna skała,
Albo w lodowej — albo w gwiazd koronie,
Przejdzie przez księżyc — i we mgłach zatonie.
I nieraz z szumem fali doleciała
Pieśń, którą słowik napętnia ogrody;
I róż woniami, co na brzegach kwitną,
Nieraz wiatr drżącą falę zakołysze.
I wszystkie barwy topią się w błękitną,
I wonie w zapach tajemniczy wody,
I wszystkie dźwięki toną w wielką ciszę.

Gdy wyszedł Lambro, drużyna korsarza
Długo, ciekawie śledzi rysów lica...
Twarz jego straszną błądząco przeraża,
Pobłękitniała od blasku księżyca.
Odeszli... Lambro osłonięty w żagle
Patrzył na morze, na odległe skały,
I patrzył długo, dumał... potem nagle
Zachwiał się, chylił, i upadł omdlały.

VI.

Wnet go tłum majtków dokoła otoczy...
Błady był strasznie, napoły nieżywy.
I paż krzyk wydał z piersi przeraźliwy,
Gdy omdlałego przyniesiono pana.
Lambro zbieleła na krzyk podniósł oczy,
Twarz mu rozciąła, śmiercią obłąkana.
Otworzył usta — mówił nieprzytomnie:
„Kto tutaj jęczał, kto tu płakał po mnie?
„Jeden znam tylko taki głos na ziemi,
„W płaczu z miłosnym pomieszany dźwiękiem.
„Paziu, płakałeś łzami nie twoimi,
„Ty mnie zabijesz takim drugim jękiem!
„Ten jęk dziewicy posłyszany we śnie
„Dziwnym połamał myśli moje kształtem;
„I wyciągnąłem dłonie i sił gwałtem
„Z letargu wstałem... gdzież ona?... tu była!
„Nie, tu paż tylko. Jakże mię boleśnie
„Noc ta urokiem ciszy przeraziła!
„Noc księżycowa, czemu nie ciemniejsza?
„I noc przekląłem i morza zwierciadło.
„Morze tak ciche, czemu burz nie miało?
„Gdy w nie patrzałem, moje czucie mdlało,
„Patrzałem w czucie, moje czoło blade,
„I mgły na serce spadały jak śniegi.
„Lecz to minęło... niechaj noc przemarzę.
„Paziu, daj czarę nalaną po brzegi,
„Niech wiem przynajmniej, że w obfitej czarze

„Śmierć trzymam pełną, dotkniętą ustami;
„Nie spełnię całej, chociaż drżącej ręki
„Nikt nie odchyli prośbą ani łzami,
„Lecz nie chcę skonać, póki ziomeków jęki
„Będą pacierzem i grobu hymnami.“

Wnet paż posłuszny rozkazowi pana
Podał mu czarę i odstąpił krokiem.
A czara była kształtnie dłutowana,
Niepełna z roślin wytłoczonej śliny;
Chwycił ją Lambro i pożerał okiem,
Błady na czole i na ustach siny.

VII.

Wypił — i zwolna płomieniem rozkwita;
Z czoła zasłony opadają mgliste,
W źrenicy płomień oblakania świta,
Oczy tak jasne, błyszczące i szkliste,
Że można było przejrzeć w nie daleko,
Straciły barwę — stały się iskrami,
I gorączkową rozpalone spieką,
Kryształowymi pokryły się łzami.
A potem czoło wsparł na drżącej dłoni,
Oczy nie miały wzroku choć bezsenne,
I wszystkie żyły wybłyśły na skroni,
Jakby gałązki bluszczu powiązane;
I wszystkie włosy jak liście jesienne
Drżały na czole wiatrem nie rozwiane;

I w marmurowej na pozór postawie,
Rozkołysanie widać zmysłów piane.
A o czem inni śnią, widział na jawie,
Tylko jaśniejsze. Jak węża kawały
Rozcięte widma jednem życiem drgały.

Ciszej! bo właśnie teraz sen czarowny
Rzucił go lotem po nieba błękiecie...
Dzikiem rozkoszy urok niewymowny
W nagloném tchnieniu zamknął zmysły, życie,
Słowo poczęte śmiech porywa, łamie,
I śmiech poczęty w odetchnieniu kona.
Bo to nie skrzydło, ani silne ramię
W lekkiej powietrza pławiło go fali;
Lecz ciężar myśli opadł z głębi łona,
I ciężar wspomnień zniknął z uczuć szali.

Stanął i nagle tysiące błyskawic
Wieńcem ognistym mignęły do koła.
Rzekłbyś, że tysiąc zamachniętych prawic
Wiało tyśiącznym mieczem archaniola.
Pogasły, w błękit stopiły się ciemny,
Tak przezroczysty, głęboki, tajemny,
Jak nieskończoność... I słychać szum morza.
Potem z ciemnego błękitu przestworza
Wykwitał mglisty obraz sennych czarów.
I gmach z tyśiącznych złożony filarów,
Lekką jasnością w powietrzu skreślony,

Od stóp korsarza w dwie się rozbiegł strony
Po całym niebie. A jedna połowa
Uwiana była z promieni księżyca,
Jasna i blada, jak noc księżycowa,
Cała w przezroczu błękitnawo szklista;
A druga strona posępna, ognista,
Jak piekło. Wielkie zwierciadło egidy
Gmach cały kryło jasności sklepieniem;
Pod niem schylone duchów karyatydy,
Dwubarwnym światła uwiane promieniem,
Z bliska ogromne, jak ciemni szatani,
Biegły w dwie strony oddaleniem mniejsze,
I coraz dalsze, i coraz świetniejsze,
Jak mgliste gwiazdy niknęły w otchłani.

A Lambro nie śmiał technąć, bo choć wyniosła
Była duchami otoczona sala,
Lecz taka lekka, że powietrza fala,
W otchłani człowieka technieniem potrącona,
Możeby duchów kolumny rozniosła.
Więc stał i technienie połykał do łona,
By czarownego nie zamglić zwierciadła.
A w lesie kolumn widział ludzkie cienie,
Klektów oddawna pomarłych widziadła;
A wszyscy w gmachu wplątani promienie,
Bładzi — posępno - srebrni lub ogniści,
Lekcy i liczni, jako chmura liści
Wiatrem zwichrzona, wiązali się w tłumy.

Ale dotknięci żywego oczyma
W twarzach zdradzili wiele ziemskiej dumy.
Widać, że znaczni rysami Kaima
I strojni dotąd w blask ziemskich kolorów,
Nie mogli zasiąść wśród niebieskich chorów;
I przed oczyma Lambra, napół sini,
Napoły lśniący od złota, szkarłatów,
Ziemskimi barwy, jak oazis kwiatów
Stali na srebrno-ognistej pustyni.

A skoro Lambro stanął w duchów kole,
Milionowe patrzyły nań duchy;
I tak go w spojrzeń zakuli łańcuchy,
Że nie mógł zamknąć oczu — i na czole
Pałace uczuć znamię duchów wzroku,
I drżał, gdy szmerem rosnącym potoku
W ciszy setnymi głosy zawołali:
„Czemuś nie skonął, gdy wszyscy konali?“

VIII.

Straszna twarz Lambra łamana cierpieniem —
Otworzył usta, chciał mówić, i nie mógł...
A potem słowo złamane westchnieniem,
To słowo „żyję“ rzucił z głębi łona...
I wstał z dywanu, wyciągnął ramiona,
Widać, że walczył ze snem i sen przemógł.
Spojrzał w około... „Paziu! daj mi czarę;

„Za mało trucizn zapalonych piłem,
„Bo myślą ziemską we śnie się rozbiłem...
„Że nie zginałem, życie mam za karę;
„A to piekielna kara niebios — życie...
„Być w świecie dźwiękiem rozwiązanej struny,
„Co razi serca tonące w zachwycie!
„Być jako wieko przysypanej truny,
„Co zrazu każdej garści zapomnienia
„Posępny, głuchym jękiem odpowiada,
„A potem milczy... Paziu, chcę marzenia!
„Lęj mi trucizny, pić będę — pić będę,
„Póki się wszystkich myśli nie pozbędę,
„I téj ostatniej, co serce przejada.
„Paziu, daj czarę...”

„Próżno błagasz, panie,
Téj czary żadna nie zdobędzie siła;
Bo dziś, jak niosło twoje rozkazanie,
Jam czarę (kłamał) do morza wrzuci...”

Nie skończył, Lambra przerażony wzrokiem,
Bo korsarz drżące wyciągnął ramiona,
I pochyłony naprzód stąpił krokiem,
Patrzył w twarz pazia i krzyknął: „to ona.. “
O nie! to widmo z piekielnej otchłani,
To mi upiora przysłali szatani,
Aby tak za mną wiecznie szedł po świecie...
Ha! wy anieli piekieł! wy nie wiecie,

Że ona żyje, i tylko dziś rano
W jej szaty lalkę ubrałem słomianą;
I tym podstępem omyliłem strażę,
Palnego statku Turcy nie poznali...
O! gdyby ona spłonęła w pożarze,
Chciałżebym z morskiej wynurzyć się fali?...
Pocóż to widmo?... we mnie, lub koło mnie
Wiecznie i wiecznie — czemuż ludzi twarze
W jej twarz się mienia? paziu! chodź tu do mnie,
Chodź! niech przy lampie..."

Lecz paż nieprzytomnie

Nalewał napój w połączoną czarę,
I z drżącej ręki nieliczonych wiele
Kropel trucizny upadło nad miarę.
I szedł zachwiany i stapał nie śmieie,
Jakby od blasku ręką zakrył oczy;
I tak przed lampą stanął, że ją cieniem
Swojej postaci nachylonej mroczy...
Lambro miał usta spalone pragnieniem;
Oczy, sennymi tłoczone ciężary,
Z oblicza pazia upadły w głąb czary.

IX.

Wypił. Wnet całe spłonęło mu lice,
W tym blasku, w oka obłąkanym rzucie
Nieodgadnioną widać tajemnicę;
Jakby niepewne boleści przeczucie.

Znów mu się senne ukazały barwy:
Ciemno - ognista i miesięcznej bieli;
I znów te same widział kleftów larwy.
Staął w ich kole, słuchał, lecz milczeli.
A przed kleftami stali dwaj anieli:
Jeden, ognisty jak piorunu strzała,
Bezkarnie wzrokiem człowieka nie tknięty,
Był w Lambra myśli jako płód poczęty,
I nie mógł w zmysłów narodzić się świecie.
Drugiego istność księżycowa, biała;
Miał skrzydła u głów, u rąk, u stóp trzecie.
Widać, że kiedyś był Boga aniołem,
Lecz barwy skrzydeł spłowiały, pobladły,
Musiał je zrosić ów anioł upadły
We łzach człowieka nad świata padołem.
Ma w ręku czarę, z której błękitnawy
Płomyk wytryska i lice mu bieli...
I w ciszy Lambra marzeń dwaj anieli
Spiewali razem hymn straszny i krwawy.

HYMN ANIOŁA.

Falo ludzi! falo ludzi!
Przewracasz się, pienisz — i mętna
Bez wiatru usypiasz... któż ciebie obudzi?
Czy sława pałaca, czy miłość namiętna!
Falo ludzi! falo ludzi!
Przed tronami niższa czołem,
Przerzedzona mieczem wroga;

Gdy chciałaś się modlić i modlić do Boga,
Modliłaś się do mnie, jam zemsty aniołem.
O! byłem ja nieraz w ostatnim pacierzu
Na ustach zmarłego... Ja stoję przy grobach,
Gdy krewni przychodzą ubrani w żałobach,
A kiedy się modlą po zmarłym rycerzu,
Wzywają mnie więcej, i więcej niż Boga.

Płynęła od wschodu
Szarańcza złowroga;
Niszczona od głodu,
Na Stambuł upadła;
Z tej chmury lazuru,
Jak ciemne widziadła,

Wybiło się wieży tysiące;
I rzekłbyś, że wielkie olbrzymy milczące
Szarańcze rozgniotły stopami z marmuru.

A potem te mrące na głazach owady
Stworzyły myśl w chmurze, co duszą jej była.
I gryzły bezsilne z marmuru posady,
I marły — a mrących myśl we mnie ożyła.
Myśl zemsty mrącego narodu.

A kto chce iść za mną, gdy nie śmie lud cały,
Na inne uczucia niech lice ma z lodu;
Gdy lud będzie milczał do zemsty nieśmiały,
Gdy grobów gęściejsze porosną cyprysy,

Gdy głośnie łez będą rozpaczę,
Ja śmiechem złamane pokażę mu rysy,

Aż póki w nim śmiechu nie wzbudzę szatana;
I będzie go zgraja przeklinać splakana,
Że z nimi na grobach nie płacze.

Wylany ze łzami
Mój duch obumiera,
Mnie światło dnia plami,
Mnie księżyc otwiera
Jak kwiaty, co kwitną nocami.
Ja czekam, aż Turki wychodzą z meczetu,
I płynę w ich serca przed Bogiem otwarte.
Ja jestem modlitwą na stali sztyletu.
Ja mieczem ognistym anioła
Wśród księgi wspomnienia zaginam tę kartę,
Co o krew woła.

HYMN ANIOŁA.

Gdzie kilka palm pustyni, gdzie wrące powietrze
Drży przebiegane falą żółtawą płomyków,
Tam ja byłem na spiekłym urodzony wietrze,
Tam jak szakal pilnuję gryzących się szyków.
A kiedy trupami pustynię pokryją,
Nim księżyc się w niebie wysrebrzy dwa razy,
Szakale nocami pieśń sławy im wyją,
Ja mszczę się umarłych, jam anioł zarazy,
I lecę ich żony zabijać i dzieci,
Ażeby nie długo umarłych płakały.

A moje skrzydło krwi plamami świeci,
Ani ich w morza opłóczę kryształ.
I lecę miasta zamieniać w pustynię;
A w miastach ludzie czują, że ja lecę
W srebrno - błękitnej, w nadpowietrznej rzece,
Co nad krętymi ulicami płynie.

Z sułtana powracam ja grodu;
Sto głów dziś sułtański ściał miecznik;
A każda na postrach narodu
Z bram miasta jak żółty słonecznik
Spogląda za słońcem zachodu.
I oczy wlepiły w mgłę białą,
Co kraj im rodzinny zakrywa;
I każda się zda jakby żywa —
Krwia płaczą, gdy łez im nie stało.

Zemsty natchnąłem je duchem,
Mścijcie się, rzekłem, dam broni...
Czarnym zarazy łańcuchem
Sułtańskie grody związały,
W meczetów zakradły się woni.
Za bramy wybiegł lud cały,
Na bramach była zaraza;
Lud martwe dał jej pokłony.
Głowy, jak królów korony,
Świecą na słupach z żelaza,
I mają poddanych — trupy.

Z syryjskimi łupy
Ja okręt przez wały
Po morza błękiecie
Do portu zawiąłem.
I stał oniemiały,
Nie spuścił szalupy,
A na żaglu szczycie,
Nad cichymi trupy
Ja anioł siedziałem.

Lud widząc bitny
W grobów popiele,
Chciałem, by groby otwarli.
Złoty aniele!
Rzekli umarli,
Weź z naszych grobów płomyk błękitny
I mścij się za nas... Duch grobów wziąłem
I lecę mściwy,
Bo lud nieżywy
Nazwał mnie zemsty aniołem.

Skonały dzikie dwóch aniołów pienia.
Lambro je we snach gorączkowych składał.
Hymn ostatniego tak rymami spadał,
Jak gdyby w piersi marzeń brakło technienia.
Wstał, chciał się zbudzić, lecz padł na dywany;
Usta mu tylko drżały blade, sine,
Jakby chciał mówić — i wzrok obłąkany

Przebiegał marzeń zamgloną krainę.
A jego twarzy powleczonej w bieli
Nawet szatani marzeń się przelekna.
I rzekł: „O Duchy! o ciemni anieli!
Wyście mi zemstę malowali piękną,
Jak najpiękniejszą ze wschodnich Odalisk,
Bo w mojem sercu miłość zapaliła.
Choć sny wygasną, ona będzie żyła,
Dla niej utworzę, pośród myśli zwalisk,
Krainę czucia, brylantowy Eden...
I nie sam będę... choć klasztorna krata
Już mię na wieki rozdzieliła z Idą...
Szalona zemsta!... burzę świat sam jeden.
Mamże być znowu piekieł Danaidą.
I krew lać wiecznie do téj czary świata,
Co się krwią nigdy napełnić nie może.
Czyż się bezemnie sam nie zemścisz, Boże!
To są anieli twoi... ci... przedemną,
Przynieśli na świat myśl wielką i ciemną,
Całą na czołach ogniem wypisaną,
Ale nie mogę wyłamać z niej słowa.
Słuchajcie ludy, mścić się nie za rano...
Nie... dziś nie mogę, dziś mi cięży głowa...
Jutro — dziś w marzeń upływam potopie...
Jutro. Lecz dzisiaj sennym wydrę cudom
Myśl wielką... potem tę myśl zmartwychwstania
Jak Kleopatry perłę w krwi roztopię
W czarze kryształu, i dam czarę ludom...

A one może w chwili obłąkania
Odepchną czarę... wieczna im mogiła!
Jeżeli czarę od siebie odrzuca,
Jeżeli usta dlatego odwróca,
Że się w krwi ludzkiej myśl ta roztopiła,
Chociaż tak była bezcenna i droga,
Że o niej dotąd nie śnił nikt — prócz Boga.
Lecz niech ją pojme, niech przeniknę jasno,
Niech mi z posianych rozkwitnie zarodów
Zemsta człowieka i zemsta narodów...
Jest w sercu... w myślach... moje myśli gasną...
Znów mię ogniste porywa marzenie;
Widzę je sercem i okiem zamkniętém.
Powietrze zda się wielkim dyamentem,
W którym kolory grają i płomienie.
Szatani! o ciemni szatani!
Jak płyną wirem obrazy!
To mój okręt korsarski na ciemnej otchłani
W skrzydlate widmo się mieni;
A z prawej strony anioł zarazy,
A z lewej anioł ognisty,
Liny z promieni...
I morza obrus błękitno-szklisty
Nie łamie się w pianę pod statku piersiami,
I okręt białymi nie szumi żaglami;
I tylko czuję, że płynę,
Jak duchy w północną godzinę,
Posępny, okryty mgłami.



I mgła błękitna pobiela
Uciekające wstecz brzegi,
Topią się, nikną jak śniegi.
Znów widne... tam palma drżąca,
Jako kapłan Izraela,
Do cichej twarzy miesiąca
Wznosi dłonie, twarz odwraca
I mówi modlitwy szmerem.

Anioł zemsty kieruje okrętowym sterem,
Odbłyskiem swego lica ciemny brzeg poślaca.
Palmy się zamieniają w ogniste kolumny,
I brzeg cały przeraża pożarów ogromem,
Tylko czarne cyprysy, niedotknięte gromem,
Stoją, zmarłego świata pilnujące trumny...

A tam... Kolonny wybrzeże,
Białe posągów narody.
Wśród kolumn tureckie wieże,
Na gmachach las ostów szumi,
Jak Babilońskie ogrody,

I szmerem głos modlitwy Mahometa tłumii,
Głos, co się smutnym dźwiękiem po fali rozlewa.
A tam, gdzie laur różowy, gdzie oliwne drzewa,
Wybłyska jedna, druga i czwarta kolumna;
Szczęty gmachów Jowisza ściętą mają głowę.

Jakaż to jaskółka dumna
Na te gzemsy marmurowe
Zaniosła gniazdo? — skoniała

W tych gmachach wiara i chwała,
A ta jaskółka nie skona?
O nie... to chata Santona
Na gzemsów zawisła szczycie.
Posepna w około cisza...
Przed chatą postać derwisza
W nieba skreślona błękiecie,
Jako posąg nieruchoma...
Modli się... depcąc świątynie.

Lambro marzył... a w twarzy zgryzota widoma
Czerni się, i łza wstydu po licach mu płynie.
Patrzył w anioła zemsty, w anioła zarazy,
I oba stali cicho, posepnie jak głazy,
I w ich postawach ogień potępieńców bladnie.
„Gdy cały kraj powstanie, ta chata upadnie“
Rzekli... i okręt płynął na błękitne morze.

Tam zdala, okryta mgłami
Turków stolica w Bosforze.
Tysiące gmachów, meczetów,
I tysiące minaretów,
Jakby złotymi głoskami
Jakiś napis alkoranu
Pisały w nieba błękiecie.
Zemstę będziemy winni przedwiecznemu Panu,
Anioł zarazy siada na sofjskim szczycie,
I patrzy na stolicę... Gdzież sen mój? ciemnieje.
Paziu, ty rozbić musiałeś zwierciadło,

W którym czytałem wszystko na te oczy.
Rozbić musiałeś, bo wszystko tak mgleje,
Czerni się, pierzcha, rozbija, pobladło,
I coraz grubiej wzrok mi się zamroczy,
Tak, że nie widzę nic prócz myśli własnych.
O męka! męka! z tych obrazów jasnych
W ciemność myślenia nagle wpaść oczyma.
O jak głęboko pośród myśli tłumu
Wzrok mój zabiega, jeszcze dna nie trzyma,
To wzrok ocknienia... to promień rozumu
Budzi się z marzeń piekielnych rozkuty...
Tu korsarz zamilkł, sam w sobie zamknięty,
Długo na łożu leżał rozciągnięty,
Potem się zerwał, krzyknął: „jam otruty.“

X.

Zrazu się wahał i myśli przedziwa
Żadnymi na jaw nie śmiał wydać słowa,
Jakby się lękał, aby śmierć skwapliwa
Nie rozwiązała wpół zaczętej mowy;
I widać było, jak na jego czole
Ze snu chmurami łamały się bole.
Chwyta za sztylet złotem wybijany,
A tak był drżący, że go ledwo dźwignął;
I krwi gwałtowném rozigraniem chwiany,
Nad bladym paziem dłoń wzniesioną trzyma.
Palik się cały, potem cały stygnął...
Żelazo z dźwiękiem padło na podłogę.

„Paź błękitnymi ściga mię oczyma,
On ma twarz Idy, zabić go nie mogę!
Idź w świat, tam ludzie wszyscy ciebie godni,
Obludą w serca wkradaj się tajemnie;
Ty się odemnie nauczyłeś zbrodni,
Na Boga, szczęścia nie ucz się odemnie!
Idź, weź to złoto... może niem zapłacisz
Za snu godzinę, za czarę trucizny.
Weź i tę czarę, wśród domowych zacisz,
Jeżeli kiedy dożyjesz siwizny,
Niech do tój czary twoje dzieci własne
Cypryjskich jagód nalewają wina;
A może zaśniesz, jak ja teraz zasnę.
Ja nie przeklinam, śmierć ciebie przeklina,
Śmierć od trucizny, bezsławna i marna
I nadto wczesna... Głębi mego łona
Bóg tajemnicze dał zarodu ziarna,
Dał samobójczą myśl: ta wykarmiona
Rosła jak bujne głuszące rośliny,
Stała się zmysłem duszy, rozkwitała.
Czekałem tylko szczęśliwej godziny,
A wtenczas dusza, rozwiązana z ciała,
Mogłaby skończyć pasmo wyobrażeń
Uczuciem dumy i śmiercią bez marzeń.
Wtenczas koło mnie stałyby w około
Z grobów wezwane dawnych druhów twarze.
Z uśmiechem gorzkim odwróciłbym czoło,
Niechby widzieli, że śmierć była w czarze!

Bo oni niegdyś niedowiarstwa wzrokiem
Śledzili we mnie męstwa, niedostrzegli...
I dziś, dziś jeszcze nie wszyscy odbiegli.
Widzę ją, widzę, tam, z błękitnem okiem,
O nie! to szatan ubiera w mgłę ciemną
Takie obrazy. Wściekłość mnie porywa!
To paż... to ona... martwa... jeśliś żywa?
Ja konam! konam! chodź ze mną! chodź ze mną!

Paż upadł we krwi. Lambro drżący, blady,
Zbył w nim sztyletu, szedł — i niezatarte
Stopami krwawe powyciskał ślady,
Pot miał na czole, usta wpół otwarte.

XI.

Taką twarz noszą anieli przekłęci.
Na czole myśli biegające tłumem,
Niepowiązane czuciem i rozumem,
Zlały się w ciemną niepewność pamięci.
Niepomny zbrodni, którą był wykonał,
Sennymi słowy trzykroć pazia woła;
Paż jeszcze słyszał, podniósł nieco czoła,
Westchnął głęboko, chciał mówić i skoła.
Lambro spalony truciznami bladnie,
Potem się drżący przyczółgał do stoła,
Chwycił za czarę, w czarze znalazł na dnie
Męty napoju — wypił je i ożył;
I sen od powiek na chwilę oddalił,

Śmierci przyspieszył, lecz marzeń przysporzył;
Jak lampa blaskiem ostatnim się palił.

XII.

„Oto mój żywioł, ta ciemność ponura,
Już do otchłani myśl moja należy.
I nieskończoność, jako ciemna chmura,
Świat opłynęła; myśl, gdy w nią pobieży,
Wraca zbłąkana i znów się zamyka
W sennych marzeniach, moja nie wróciła...
Już nie mam myśli, odbiega mnie — znika.
Raz nad świat wzbita, nie jest częścią świata.
Zna nieskończoność, знаła piekło, żyła.
Niech jak zabójca pierworodny brata
Leci płomienną naznaczona blizną,
W małej z początku żywiona iskierce,
Kiedy w popioły obróciła serce,
W proch się rozpadło dotknięte trucizną...

.
O jak tu ciężko... poco pod sklepienia
Zamknięto kwiaty? ta woń kwiatów nudzi!...
Bo kwiaty nocą jak dawne wspomnienia,
Kiedy rozkwitną, zabijają ludzi.
Rozbić te okna! rozbić szklanne stropy!
Czy mi się zdaje? zali w tym wazonie
Rosnące róże i heliotropy
Podobne z siebie jak krew dają wonie?

.

Wiele, tłum wspomnień zostawiam po sobie :
Sławę... i zbrodni przebieżone stopnie,
I krew — o sława! sława! to okropnie
Stać jako posąg na ojczyzny grobie.

.
Wyście mnie wplekli w koło Ixyona,
Wyście się po mnie wiele spodziewali;
Lecz miałem skute cierpieniem ramiona,
I wiecznie w tłumie zanurzony fali
Nie mogłem czoła wznieść nad tłum, cierpiałem.
Precz ludzie... dajcie spokojnie mi zasnąć!
Ha! i ta lampa chce zemną zagasnąć,
Świeć, błada lampo, kiedy ja się mroczę,
Świeć i świeć jutro nad korsarza ciałem...
Dotknąłem lampy i całe przezrocze
Krwia poplamilem. Tu wrogi być muszą...
Wpadli na pokład i krew się rozlała.
Słyszę nad głową, jak się deski kruszą,
Jak pierś okrętu rozbijają działa.
Chodźcie tu wszyscy, choć mam twarz pobladałą,
To nie od trwogi... Chodźcie wszyscy razem!
Jeszcze nad głową powieję żelazem...
O jak mi ciemno!... więc wszystko przepadło?
Przekleństwo temu, co pomiędzy tłumem
Jękiem rozpaczy przeraźliwie wrzasnął,
Przekleństwo fali, co z piekielnym szumem
Drze się, szczelinę rozwierając kruchą.

I okręt z głębi łona westchnął głucho...
W głąb idę... „Upadł na dywan i zasnął.

XIII.

Lampa zagasła. A korsarz otruty
Przed śmierci chwilą tonął w sen głęboki...
A teraz... słyhać tajemnicze kroki,
Ktoś przez otwarte cicho drzwi kajuty
Wchodzi ostrożnie w krainę męczarni...
„Cicho? rzekł, cóż to oboje uspieni?“
Więc nieco tajnej otworzył latarni,
Rzucając kołem kilka mdłych promieni.
A gdy te biegły po ścianach komnaty,
Gdy od zwierciadeł wróciły przezroczy,
Widać przechodnia... Pazia nosił szaty,
Do zabitego szat podobne krojem,
I równie bliski postawą jak strojem;
Ale miał czarne, jak noc czarne oczy,
I mniej był młody i piękny na twarzy;
Bo na niej uśmiech i bladość korsarzy,
Jako na miękkim wosku odcisnięte,
Świadcza, że bolem przed latami dojrzał;
Że miał już serce na czucia zamknięte.
Stał, słuchał chwilę, potem ku drzwiom spojrział,
Chcąc niezgłębioną rzucić tajemnicę,
I tak jak ludzie niepewnością chwiani,
Znow się odwrócił, z potu otarł lice,
I wołał coraz głośniejsze: „Pani! pani!“

Już ranek świta... Pani! o na Boga!
Uciekaj ze mną, korzystajmy z cieni...
Bo teraz jeszcze mgłą pewniejsza droga,
I on się zbudzi... korzystajmy z mroku...
Choćbyś mi dała twoich sto pierścieni,
Za sto pierścieni nie chcę czekać kary,
Ja nie wytrzymam nawet Lambra wzroku,
Bo on jak człowiek, on się mści bez miary.
Pani! odpowiedz... chwil mamy nie wiele...
A korsarz... Cóż to? podłoga zroszona,
I krew... na martwém spotknąłem się ciele.
Lampę odkryję... O Boże! to ona!
Sztylet ma w piersiach, to ona — zabita.“
Umilkł, tysiączne uczucie nim miota,
Martwy z przestachu, przerażeniem ożył.
Spojrzał przez okno, krzyknął: „świta! świta!“
I z obłąkaniem chwycił za wór złota,
Wybiegł i rygle za sobą założył.

XIV.

Bogini nocy przed blaskami świtu
Gwiazdy z rozwianych strząsała warkoczy;
Deszczem spadały do morza błękitu,
Inne blask zorzy płonącej pochłonał.
Lambro otworzył mgliste snami oczy;
Połową czucia jeszcze we śnie tonał,
Połową myśli sen przenikał zdradny,
Rozkołysany pośród burzy wrażeń.

Lecz boleść była nicią Aryadny,
Po której wyszedł z labiryntu marzeń.
A szatan ciemny, co się karmi łzami,
Skąpy swych darów, żadnych nie uronił;
I chwil boleściom ukradzionych snami
Więszem cierpieniem i bolem dogonił.
Skoro w komnaty dzień przeniknął jasny,
Lambro krew ujrzał, stał nad martwem ciałem
I rzekł: „sztyletu głowicę poznałem.
To jam go zabił, to mój sztylet własny.
Boże! czyż w świecie byłem tak splątany
Z tym tłumem ludzi? że nawet samotny
Umrzeć nie mogę; ale w tłum wmieszany
Konam — i ludzie koło mnie padają
Jak oberwany z drzewa liść stokrotnie.
O! boleść! boleść! umierać ze zgrają,
Jak pod gruzami zawalonéj ściany!
Gdzie nawet śmierci ostatnie westchnienie
Głośnymi jęki ludzi zagłuszone;
Gdzie i ostatnie o zmarłym wspomnienie
Nie na człowieka, lecz na tłum upada...
Wzniosę ten zawój, pióra zakrwawione,
Ujrzę twarz pazia czy mściwa i blada?

XV.

Lambro schylony z drżeniem i nieśmiało
Zdjął zawój pazia ze strusimi piórami...
I uderzony jak gromem, o małe

Nie padł na ziemię, gdy spotkał oczyma
Na pół otwartéj źrenicy lazury.
Upuścił zawój, sztyletu się ima...
Potem przypomniał śmierć, sztylet odrzucił...
Bo miał na ustach gorycze napoju.
I z obłąkaniem odszedł i znów wrócił,
I znów rękami od śmierci drżącymi
Zdejmował zawój; wtenczas z pod zawoju
Włos uwolniony sypał się po ziemi
Ze smutnym szmerem, i dokoła twarzy
Kładł się w tysiączne pierścienie rozwity.
Okropny widok! Ta krew, co się warzy,
Co poplamiała jéj szat aksamity,
Na twarzy smutek i miękka omdlałość,
I przezroczysta alabastru białość;
Kilka uwiedłych kwiatów w martwéj dłoni
Trzyma na piersiach, a drugą dłoń dała
Jak śpiące dziecko za węzłowie skroni,
W takiéj postawie martwa, jakby spała.

XVI.

Siły korsarza na pomoc zwołane,
W serce wrzucone, z boleścią się łamią.
On tak jak ludzie, co przed sobą kłamią
Moc wielką duszy, wstydzi się cierpienia.
A gdy mu własne serce zlitowane
Niosło jałmużnę łez i uzalenia,
On ją odrzucił, on sercem hartownie

Boleści ciała brał i niewydawał.
Ale po chwili, nowych cierpień nawał
Wszystkie mu członki połamał gwałtownie.
Straszna to boleść! rwał na czole włosy,
Ręką bił w piersi i krwawymi ciosy
Rozdzierał w bojach odebrane blizny.
Skądże ta rozpacz? oto w głębi łona
Uczuł niktące cierpienie trucizny,
I myśl okropna, że siłami ciała
Bole zwycięży — trucizny pokona,
Ze się wyłame śmierci — zabijała.

„Tak, rzekł posepny, pochowam ją święcie
W grób mój rodzinny, w ciche fal błękity.
Sam dałem rozkaz, aby na okręcie
Pod tą zasłoną pawilonu krwawą
Nie przeszła stopa ani cień kobiety...
Miałebym pierwszy łamać dane prawo?
Mogliby ze mnie uragać niegodni!
Przed nimi trzeba kryć wszystko, prócz zbrodni.

XVII.

Otworzył okna kajuty kratowe,
Siadł nad cichymi morza zwierciadłami.
Morze się lśniło ciemno - lazuruwe,
Złociste słońcem, osrebrzone mgłami;
I wiatr po żaglach okrętowych szumiał.
Korsarz na łonie złożył Idy zwłoki,

I długo z martwą rozstać się nie umiał.
To patrzył w odmęt ciemny i głęboki,
To na jój lice zwracał smutne oczy;
A wiatr mu ranny przesłaniał oblicze
Mgłą rozwiewaną jój długich warkoczy;
Wtenczas czuł włosa wonie tajemnicze,
I dumał długo cichym wspomnień żalem.
Ani go zmarłej twarz razila zbladła;
Na płeć jój niegdyś płonącą koralem
Śmierć bledsze barwy, ale piękne kładła.
Widząc jój kształty, zda się, że upadła
W uściski Lambra, zachwyceniem żywa;
I tylko drżąca tuli się do łona,
O nadto skore rozstanie lękliwa.
Zda się, że szumem morza przerażona,
Od grobu lice odwrócone trzyma;
I z okiem Lambra wiąże się oczyma,
I dłoń mu błędną kładzie na ramiona.
O! patrząc na nią, musiał czuciom kłamać,
Jeśli lży nie miał na cierpienia nowe!
Gdy przyszło z objąć martwych się wyłamać,
Odrzucić z szyi ręce lilijowe,
I twarz odsłonić z wonnej włosów chmury,
Przebył męczarnie wszystkie, wszystko przeżył...
Rzucił ją w morze i patrzył ponury,
Jak się krąg fali złamanój rozszerzył;
Patrzył, jak odmęt zrastał się rozbity,
A martwe ciało na poły widome,

Na pół morskimi przykryte błękity,
Wzruszonój morza fali się broniło,
Łamiąc się w kształty życiem nieruchome;
I utonęło pod morza mogiłą.

A Lambro... on był szatanem, czy głazem!
Lambro schylony nad takim obrazem
Śmiech miał na licach, wesołość na czole.
Ten śmiech ustami wydany bladymi,
To były trucizn wracające bole,
Był to śmiech Lambra — ostatni na ziemi.

XVIII.

Lambro milczący usiadł na dywanie,
Cały się mroczył i bladnął i gasnął.
A potem głośno w obie dłonie klasnął,
Wnet stary majtek wbiegł na zawołanie.
Lambro rzekł: „Majtku, niech pop okrętowy
„Zapali lampy jak o wielkiem święcie;
„I niechaj głośno śpiewa hymn grobowy,
„Przy mnogich światłach, w mrocznym kadzidł dymie
„Za tych, co mają skonać na okręcie
„I co skonali...”

„Panie! jakież imię
„Wspomni w modlitwach? czyjeż gaśnie życie?”

„Powiesić pazia na masztowym szczycie,
„Za niego modły niech wzniesie do Pana.“

„Lambro! twój rozkaz spełnić się nie może.
„Twój paż gdzieś uszedł i zniknął od rana,
„Musiał tajemnie spuścić łódź na morze.
„Lecz choćby w Pera ukrywał się wieże,
„Choćby się w gmachach zamykał sułtana,
„Nakarmię kruki ciała jego ćwiercią.“

„To nic... Pop niechaj odmawia pacierze
„Za konających i za zmarłych dusze;
„Teraz ty odejdz... ja sam zostać muszę,
I cicho dodał: „sam jeden ze śmiercią.“

XIX.

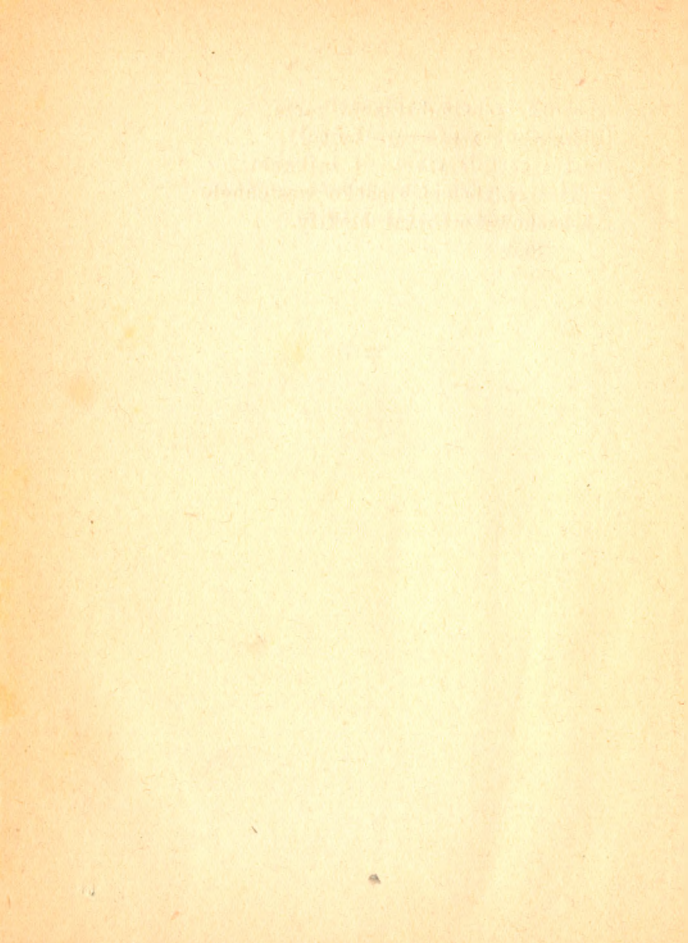
Oto na czarnej okrętu banderze
Martwe korsarza spoczywają zwłoki.
Majtkowie wyszli na pokład szeroki,
I słyhać było szeptane pacierze;
Szarawe kadzidl snuły się obłoki,
W dymach żółtawe płonęły gromnice.
I był to widok pięknnością straszliwy,
Gdy majtki, patrząc w umarłego lice,
Cicho brzęczące zrywali kotwice,
I okręt płynął — a Lambro nieżywy
Po raz ostatni wędrował przez morze.



A skoro trzecie zabłysnęło zorze,
Umalowane czerwonymi świty,
Do fal rzucili ciało — i zniknęło...
I dział trzydzieście głęboko westchnęło
Na bezechowe otchłani błękity.

1832.





PRZYPISY
DO POEMATU LAMBRO.

*

PIEŚŃ PIERWSZA.

Podobna córce głazowej Tantala
Gdy, etc.

Te cztery wiersze są tłómaczeniem z Antygony Sofoklesa.

Niegdyś nam północ miecz podała w dłonie
A potem chytrze bezsilnych odbiegła.

Mowa o Katarzynie Carowej, która Greków podburzyła
do powstania i zdradziła oczekujących od niej pomocy.

..... Była to pieśń Rygi.

Sławny hymn powstańców, napisany przez Rygę, zaczyna
się od słów: Δεῦτε παῖδες των Ἑλλήνων.

I miej kalemkiar ciemny z muselinu,
Lub czewrę. —

Rodzaj zasłony kobiet tureckich.

*

PIEŚŃ DRUGA.

W jej szaty lalkę ubrałem słomianą,
I tym podstępem omyliłem strażę;
Palnego statku Turcy nie poznali.

W ostatniej wojnie o niepodległość, Grecy często pod tureckie floty puszczali statki palne, napełnione lalkami, czyli tak zwanymi manekinami, aby w Turkach podejrzenia nie wzbudzić. — A łodzie takie miały pozór handlowych statków.

Miał skrzydła u głów, u rąk, u stóp trzecie.

Obraz anioła naśladowany z Milтона.

Ja mszczę się umarłych, jam anioł zarazy.

Zaraza, która w ostatnich czasach mściła się na Europie opuszczającą naszą sprawę, podała mi myśl połączenia anioła zarazy z zemsty aniołem.

.... to chata Santona.

W Atenach, na gruzach kościoła Jowisza, Santon, derwisz turecki, zbudował chatę.

Korsarz otruty

Przed śmierci chwilą tonął w sen głęboki.

Otruci napojem opium usypiają, lecz przed śmiercią budzą się.



Wydawnictwa księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.

	złr.	ct.
Dr. Antoni J. Gawędy z przeszłości 2 tomy	5	40
— Opowiadania historyczne, 1 tom	3	—
1.) Pod Półksiężycem. 2.) Księżę Sarmacji. 3.) Odwiedziny monarsze. 4.) Na kresach. 5.) Dwór Tulczyński. 6.) Losy pięknej kobiety. 7.) Tynna w końcu XVIII. wieku.		
— Nowe opowiadania historyczne	3	—
1.) Pod krzyżem. 2.) Losy kresowego miasteczka. 3.) Wartabiet. 4.) Zemsta kozacza. 5.) Porwanie króla. 6.) Niedoszłe legiony.		
— Opow. hist. Tad. L. Grabianka, Starosta Liwski	1	80
— Trzy opowiadania historyczne (w druku)	—	—
BIBLIOTEKA POLSKA: Każdy tom broszurowany		
1 złr. 80 ct., w oprawie	2	40
I. II. krasiński Z. Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. — III. — VI. Mickiewicz Adam. Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII. — X. Zaleski, B. Poezje. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. Pamiętniki Paska. Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego. — XII. Niemcewicz, J. Jan z Tęczyna. Powieść histor. — XIII. — XVI. Słowacki, Juliusz. Dzieła. Wyd. przejr. przez prof. dra. A. Małeckiego. — XVII. — XVIII. E...ly, (Asnyk Adam.) Poezje, 2 tomy.		
Biliński, Dr. L. System nauki skarbowej	6	—
— Ekonomia polityczna 2 tomy	—	—
Bolesławita, B. Hybrydy. — Król i Bondarywna. — Pamiętnik panicza. — Dziennik Serafiny. — Nad modrym Dunajem. 1 tom po	2	40
Chłędowski, J. Sylwetki społeczne	2	40
Jeż, J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej	2	40
Kaczkowski, Karol. Wspomnienia 1808—1831 z papierów pozostałych po ś. p. K. K. generał sztab-lekarzu wojsk polskich, ułożył T. O. Orzechowski, 2 tomy	4	20
Kantecki, K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły	1	20
— Z podróży Oświęcima	1	80
Kraszewski, Kajetan. Koniuszyc Brzeski. Opowiadanie	1	80
Lemcke, K. Estetyka, 2 tomy	6	—
Liske, X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i Pamiętniki	4	20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane wstępem objaśnione przez L. Siemieńskiego	2	80



WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
B I B L I O T E K A

77264









Biblioteka WSP Kielce



0176879